

pieczeństwa i pożarną, wnet jednak ustał wszelki ratunek, bo nie było wody do gaszenia. Lokalizowano pożar, wysadzając bliskie płomieniom domy dynamitem. Lec i dynamitu zabrakło. Z zaułków i nor zbrodniczych wypełzną zwierzę ludzkie i począł rabować i zabijać przy łunach morza płomieni. Straż, ustawiona przed ocalałymi gmachami bankowymi i kasami strzelała do każdego, na kogo padło choćby podejrzenie o rabunek; telegrafowano również do Waszyngtonu po wojsko, które przybywszy, obsadziło całe miasto patrolami, strzegącymi mienia ocalałych.

Hotel zamieszkiwany przez rodaczkę naszą, p. Sembrich-Kochańską, która śpiewała jeszcze dzień przedtem w zawalonej już dzisiaj operze, stał się, jeden z pierwszych pastwą trzęsienia, a później pożaru; wszyscy jego mieszkańcy zdołali jednak schronić się na czas do miejsca bezpiecznego. W hotelu „Valencia“ zginęło natomiast przeszło 100 osób, zaskoczonych we śnie przez katastrofę. Gazownia miejska eksplodowała, elektrownię zniszczyło trzęsienie ziemi, szpitale rozpadły się w gruzy; niema gdzie przewozić tysiąca rannych, niema ich czem żywić!

Liczba ofiar katastrofy dotychczas dokładnie oznaczyć się nie da. Dotyczące obliczenia przypuszczalne różnią się ogromnie, najniższa cyfra wynosi 1000, najwyższa 15.000. Nadto w innych miastach Kalifornii, dotkniętych trzęsieniem ziemi, zginąć miało około 800 osób. Zdaje się jednakże, że liczba ofiar katastrofy w samym San Francisco przekracza znacznie cyfrę 1000. W sobotę z pod gruzów jednego tylko domu wydobyto 75 ciał ludzkich. Straty materialne podają ostatnie doniesienia na 500 milionów dolarów, czyli dwa i pół miliarda koron. Jeśli nie powiodło się ocalić zupełnie lub częściowo dzielnic miliardów, będą wprost olbrzymiami także straty dzieł nauki i sztuki. Wielu bowiem milionerów posiadało w swoich pałacach bardzo cenne zbiory.

Zdaje się, że w jednym z kościołów, które runęły podczas nabożeństwa, zginęło kilkuset naszych rodaków z pośród emigrantów z Polski.

Działacz wyborczy w Warszawie.

Choć szron dawno przyprószył mu skronie, choć nie marnował lat na próżniactwie lub używaniu, choć ma za sobą zasługi i uznanie na polu lekarskim jako specjalista chorób usznych, zaś na polu sztuki jako b. długoletni wiceprezes Tow. Zachęty sztuk pięknych, za którego stanął dzisiejszy pałac sztuki, choć obarczony ułziałem we wszelkich komitetach, czy politycznych, czy dobroczynnych, czy społecznych, poczuł się dr Karol Benni również do obowiązku czynnego udziału w pracach komitetu przedwyborczego jak i obecnej akcji wyborczej. Tu członek komitetu, tam jego prezes, owdzie znowu przewodniczący zgromadzenia wyborczego, cieszy się powagą i zaufaniem narodowych demokratów, jakoteż ugodowców.

Umysł bystry przytomny łączy z energią, która przybiera niekiedy pozory uniesienia się.

W każdym razie postać to Warszawy wybitniejsza, która może się znaleźć w gronie 80-u wybrać się mających „elektorów“, powołanych do wybrania posła do Dumy państwowej w Petersburgu. B-t.

zostawiwszy dzieci na podwórzu, poraz wtóry wbiegła do zionącej obecnie już ogniem izby i wyniosła na ręce płonąca 8-letnią córeczkę Stefanię oraz 3-letniego syna Antoniego. Oszałała z bólu skutkiem płonącego na niej ubrania, oślepią straszną rozpaczą na myśl, że reszta dzieci ginie tam w płó-



Żywe pochodnie: Pogrzeb 7 ofiar rodziny Dąbka, żywcem spalonych w domu na Hożej w Warszawie; kondukt z siedmiu niesionymi na ramionach trumnami w Alejach Jerozolimskich. (Fot. Nemo).

Żywe pochodnie.

Straszny, wstrząsający nerwami wypadek zdarzył się przed tygodniem w Warszawie w małym parterowym mieszkanku jednopokojowym w drewnianym domu na rogu ul. Leopoldyny i Hożej. Mieszkanie to, (podajemy jego podobiznę po katastrofie) którego okna wychodzą na ul. Hożą, zajmowane było przez rodzinę Dąbków, składającą się z ojca rodziny, stróża kolejowego, jego żony Teofili, oraz 7 dzieci, z których najstarszy syn Józef, liczył lat 16, najmłodsze zaś zaledwie 8 miesięcy. Zrana mieszkańcy domu przerażeni zostali nieludzkim krzykiem kobiecym, dobywającym się z mieszkania Dąbków. W tej chwili w drzwiach ukazała się na tle czerwonego tumanu dymu, zięjącego z mieszkania, Teofila Dąbkowa: na jednym ręku trzymała niemowlę, a drugą ręką ciągnęła napół omdlałego syna swego Jana, na którym płonęła koszula. Przerażeni tą straszną sceną mieszkańcy oniemieli, tak, że nieszczęśliwa kobieta

nałym pokoju, Teofila poraz trzeci wdarła się do swego mieszkania, by wyprowadzić dzieci. Tym razem siły opuściły nieszczęśliwą kobietę i omdlała wyczerpana, padając wśród płonących sprzętów. Teraz dopiero pobiegli na ratunek mieszkańcy domu oraz w tej właśnie chwili przybyły ze służby nocnej stróż kolejowy i ojciec rodziny, Józef Dąbek. Rozbicie szyby w oknie i wyniesienie reszty gorejących dzieci, było dziełem jednej chwili.

Do leżących pokotem na podwórzu strasznie poparzonych Teofili oraz ich małych dzieci wezwano Pogotowie, tymczasem zagaszono przy pomocy nadbiegłych z sąsiednich domów stróżów dopalające się urządzenie mieszkania. Przybyły lekarz Pogotowia znalazł beznadziejny stan zdrowia matki Teofili (38 lat) i sześciorga dzieci jej: Józefa 16 lat, Janiny 13 lat, Stefana 10 lat, Maryanny 7 lat, Leopolda 6 lat i Antoniego 2 lata. Jedynie niezbyt ciężkie oparzeliny 14-letniego Jana roją nadzieję, że przy usilnej opiece lekarskiej uda się utrzymać go przy życiu.

Co było przyczyną tej strasnej katastrofy — właściwie niewiadomo. Przypuszczać jednak należy, że ogień rozpoczął się od lampki świecącej się przed obrazem N. M. Panny.

Gdy już pożar ogarnął całą połowę pokoju, obudziła się Teofila i rozpoczęła straszny, przechodzący siły ludzkie, ratunek zagrożonych. Dzieci widocznie znużone świątecznymi zabawami spały bardzo twardo, a gdyby się przebudziły, duszący dym odebrałby im przytomność. Przewiezione do szpitala ofiary strasznego wypadku mimo natychmiastowego ratunku, oprócz Jana, zmarły. Owinięte w białe całuny przeniesiono zwłoki ofiar do gabinetu medycyny sądowej. Przed długą drewnianą pryczą, na której rzędem leżało 7 owiniętych trupów — klęczał tam oszałały z rozpacz Józef Dąbek. Jednego dnia stracił ten nieszczęśliwy człowiek kochającą go żonę i podpory starości. Bez ruchu z zakamieniałą na twarzy boleścią niemą, która serca rozrywa, patrzył na strasznie oszpeconą twarz swojej towarzyszki życia.

Na pogrzeb siedmiu ofiar nieszczęśliwego wypadku zebrało się około 20 tysięcy osób. Kondukt poprzedzały liczne bractwa z chorągwiami i duchowieństwo. Zrazu niesiono trumny na barkach (jak to widać na naszej fotografii w chwili, gdy kondukt szedł Alejami Jerozolimskimi do Marszałkowskiej), a następnie wieziono na cmentarz na Bródnie na siedmiu karawanach jedną za drugą siedm trumien białych, widocznych dobrze nad tłumem na naszej fotografii, zdjętej na Krakowskim Przedmieściu. Za ostatnią trumną postępuje oszałały z rozpacz ojciec z głową poparzoną w opatrunku, który na rycinie odznacza się białą plamą.



Żywe pochodnie: Przez Krakowskie Przedmieście w Warszawie zdąża na Bródno kondukt pogrzebowy przy udziale 20 tysięcy ludzi; za siedmiu trumnami na 7 karawanach wiezionymi, idzie oszałały z rozpacz Józef Dąbek (głowa w białym opatrunku za ostatnią trumną), który w godzinie stracił żonę i sześciorgo dzieci w pożarze. (Fot. Nemo).